

# POWIEŚĆ: NOWELA

Rok XIX

Warszawa, dnia 12 Listopada 1927 roku

Nr. 46

ANDRZEJ STRUG

## 9) UCZTA ZWYCIĘSTWA

Już znikły góry przekąsek, sałatek, grzybków i pasztetów, marynat, gorących i zimnych frykasów. Poszły wniwecz stylowe kulebiaki. Wódka płynęła szybko-mknącym wezbranym nurtem, każdy nalewał sobie i sąsiadom, bo zalatani ordynansi ledwie że nastarczyli wynosić puste butelki i stawiać nowe. Rozległe drewniane domostwo huczało od tęgich głosów i jarzyło się od blasków, świecąc w czarnej nocy listopadowej wszystkimi oknami na cztery strony świata, jak olbrzymia latarnia. Pod nieosłoniętymi oknami wałęsały się grupy ułanów, a od tyłu pod kuchnią murem stał tłum bab i wszelakiej zbieraniny, czyhając na niedojadki, ochłapy i dary, które jeszcze nie zaczynały się trafiać, gdyż kucharze i ordynansi byli jeszcze zbyt przeciążeni pracą i zanadto jeszcze narażeni trzeźwi. Trębacze od czasu do czasu odzywali się, grzmiąc w sieni i zawadzając nieznośnie zalatanej służbie. Wkrótce wystawiono ich na dwór wraz z butlą wódki na rozgrzewkę. W trzech głównych izbach goście tłoczyli się, powbijani szczelnie za stoły, unieruchomieni, bez żadnej nadziei odwrotu. Pozdejmowano z zawias drzwi, dzielące izby i drzwi od sieni, wytwarzając niejaką wspólnotę między stołami. W największym pokoju pod dwoma frontowymi oknami usadzono gości honorowych. Prezydował Puzo z obliczem nalanem radością i uroczystem namaszczeniem. Od czasu do czasu macał się od niechcienia po lewej piersi i ukradkiem zerkał na swoje Virtuti, które otrzymał dopiero dziś przed samym wieczorem. Z chwilą gdy siadał do stołu, ostatnią przyciszoną klątwą pożegnał wszystkie kłopoty, zawody tego dnia, oddał się całkowicie kawalerskiej ochocie, gościom, obżarstwu i wódce.

— Czort ich dieri — obędzie się bez generałów! Do diabła z francuzami, można i bez francuskiej przyprawy i zjeść i dobrze wypić....

Święto pułkowe, pierwsze w dziejach pułku, a obchodzone w drugą rocznicę zapoczątkowania jego formacji, nie wypadło tak wspaniale, jak to było zamierzone i spodziewane. Z dowództwa grupy przybył tylko posępny austriak, sztywny podpułkownik Moldeskuł, zastępca szefa sztabu i kilku jakichś podrzędnych kapitanów. Nie dopisali starzy przyjaciele, wezwani rzekomo do Baranowicz, do dowództwa frontu. Dowódca dywizji przysłał adjutanta i dwóch komendantów pułków piechoty. Z Dołżyńskich francuzów nikogo!

Pułek od dziesiątej rano stał w polu i marzył na wietrze, zanim dopiero około trzeciej delegacja grupy dotrząsała się do Sitowicz po strasznej grudzie na zarekwirowanych po drodze podwodach. Samochód im utknął na bystrowskiej grobli — dobrze im tak,

sztabowcom, zawsze lubią wygody, a nie mają zielonego pojęcia o terenie. Naturalnie, musieli się ogrzać, odpocząć, zjeść i wypić. Przegląd pułku zaczął się około czwartej. Defilada wypadła nędznie, konie nie miały żadnego ognia, a ułani skostniali i przewiani nawskroś ledwie się trzymali w siodłach. Dekorowanie odznaczonych podpułkownik zbył bez żadnego namaszczenia, sucho i urzędowo; Virtuti poza komendantem pułku dostało czterech oficerów, dwóch podoficerów i jeden szeregowiec. Krzyż Walecznych — cała kupa — a przytem żadnej mowy. Austriak robił wszystko jak nakręcony manekin, ani pisnął słowa, ani się z kim pocałował, ani się do kogo uśmiechnął — „czuczeło” austriackie i tyle.

Ale mimo przykrego zawodu, żeby nie powiedzieć, skandalu, gości było huk. Nie raczyła generalicja, nie raczyli francuzi, ale za to przywalili całą kupą morowcy z konnej baterji, aż z za Strui — siedemdziesiąt kilometrów! Przybyli na czas, na godzinę i minutę i o wpół do dziesiątej rano już tu byli najdrożsi kole-dzy, konni strzelcy. Wczoraj przed wieczorem wyruszyli od siebie z Małych Pasiok i po całej nocy marszu na wietrze i mrozie z małym po drodze popasem zameldowali się z całą fantazją konno i zbrojno, że rozkosz było patrzeć. Wraz z nimi objawili się dwaj przygodni lotnicy, pilot i obserwator, którzy lądując we mgle porannej, wmeldowali się do lasu pod Pasiokami, pocharatali aparat i powracając do swojej dalekiej bazy, zabrali się ze strzelcami. I jeszcze jacyś przybłakani, nieproszeni i jacyś bliżej niewyjaśnieni przejezdni dwaj kapitanowie — każdego i wszystkich witano otwartym sercem i wódką, szczerą a mocną, jak to serce żołnierza.

Ucztowali w serdecznym ścisku, bez żadnych ceremonji, jedli po dwóch po trzech z jednego talerza, pili z jednej szklanki. Siedzieli na ławach, na beczkach, na skrzyniach, półmiski, czyli zwyczajne miski tudzież ordynarne kopiaste donice krążyły z rąk do rąk, gdyż w tej ciasnocie należyta obsługa była wręcz niemożliwa a nawet żadna. Humory były wspaniałe i wzmagaly się z każdą chwilą. Gwar głosów, nawykłych do komendy w polu, huczał i przelewał się kaskadami zdrowego śmiechu.

Kipiała młodość tęga, beztroska i uroczą w swej rozwydrzonej swobodzie. W naczelnej izbie u honorowego szczytu stołu starsze szarże zachowywały jeszcze jaką taką ceremonialną sztywność, ale i tu Puzo czynił już pewne wyłomy, porwany swym wściekłym temperamentem i radością nie dającą się pohamować. To ośmieliło poniekąd młodszą brać, zaszczyconą dostojnem sąsiedztwem majorów i podpułkowników. Ale



w dwóch pozostałych izbach nieliczni rotmistrze i porucznicy tonęli w masie szczenięcych panów podporuczników. Tam już się rozpętywał należyty kawalerski gwałt i rozruch. Coraz wyrwał się któryś ze śpiewaniem, podchwytywanem natychmiast, jak na komendę. Wówczas wpadał adjutant Braun, który w tym tłoku i zamęcie czuwał nad wszystkim i z punktu uśmierzał przedwczesne wybryki.

— Halt!... . Czekać, aż odejdą oficjalne przemówienia! Potem możecie sobie ryczeć, stawać na łbie.... Panowie — czy wy jesteście oficerami?

— Tak jest! Co?

— Nie gorsi od ciebie!

— Oficerami? Co za takie pytania- Jesteśmy i....

— Więc nie zachowujcie się panowie, jak banda. Już!

Z kuchni przez otwarte drzwi buchały lukullusowe opary. Coś cudownego się tam piekło i skwarzyło, wierząc w podnieconych żołądkach, rwących się do bohaterkiej szarży. Śmiała się w młodych oczach niepołamowana pierwotna radość życia, jednaka uciecha ze wszystkiego, co jeno jest. Czuli się tu złączeni niezłomną przyjaźnią na śmierć i życie i wiedzieli, że wszyscy razem, jak tu siedzą przy tych stołach, — co tu dużo gadać — są potęgą. Gotowi byli na alarm natychmiast zerwać się i siadać na koń, gnać w ciemną mroźną noc i biada temu, kto by im stanął na drodze, niech ich będzie dziesięciu na jednego. Gotowi byli każdej chwili zacząć nową wojnę, ale całem swoim młodem jestestwem odczuwali błogość pokoju i spoczynku, i tej cieplej izby, i wesołego gwaru, i tego żarcia, i tego picia, i wszystkiego, co się nadarzy jutro, za miesiąc, za rok.... Rozpierała ich duma zwycięstwa i świadomość swojej zasługi. Jeden zrobił więcej, drugi mniej, jedni zginęli, inni unieśli cało głowy, ale któż to, u diabła, zwyciężył, jak nie oni, właśnie tacy, jak tu są w tej budzie wszyscy razem? Kto stoi na straży i daje się zabijać za tę Polskę i za wszystko, co tylko w niej siedzi?.... Za Polskę, która wraz ze swoim sejmem i tak zwanem społeczeństwem, podzielonym na bezsilne kliki, szarpiące na kawałki tę Polskę... Co tu dużo gadać — jeżeli jest gdzie na świecie prawdziwa Polska, to tylko tutaj w ludziach młodych, mocnych i mężnych. Jest ona razem z nimi, jest między nimi — w armji na froncie, a zatem i w tej ciasnej chałupie w jakichś zatraconych Sitowiczach na końcu świata.... Co tu dużo gadać...

Jakaś niesformułowana a sprawiedliwa pycha łączyła ich wszystkich jakby w jednego jednolitego człowieka, a ten chełpił się i odgrażał się, że niechno tylko... Sprawiało im rozkosz, że siedzą tu między sobą i że nie masz tu ani jednego nędznego cywila. Chwała Bogu....

Ryk zachwyty! Z sionki, prowadzącej do kuchni, wysunęli się dwaj ordynansi, niosąc długą deskę, ustrojoną po brzegach zielenią. Wjechała na niej w spokojnym majestacie odwieczna legenda leśnego jeziora Horocz — szczupak niewiarogodny, niezmierny. Zalany sosem majonezowym, usiany kaparami, obłożony jak klejnotami girlandą wyszukanych smakoszy, przeciskał się z trudem między krzesłami i pomijając zapatrzone i wrzeszczące stoły podporuczników, zmierzał najwyraźniej ku izbie honorowej. Ordynansi dźwigali to ostrożnie, ze skupieniem i z namaszczeniem najwyższem, jak drogiego nieboszczyka. Kondukt poprzedzał adjutant Braun, torując mu drogę i odgryzając się na prawo i na lewo, a mistrz Pijanowski, czerwony i spocony, w niepokalanie białym nakrochmalonym kołpaku, stał w progu i nawołując do ostrożności, czego w tłumie nikt nie słyszał, wyciągniętymi ramionami zdawał się błogosławić dzieło swoje.

— Mą szer kapiten, moa ossi zete a la batail a Loos....

— A juin 1915?

— Tak jest. Na fermie Le Routoire.

— C'est surprenant.

— Puszczano się tam ciekawy atak gazowy, jeden z pierwszych w tej wojnie.

— Nadzwyczaj ciekawy. Straciłem wówczas to moje lewe oko, a prawe ocalało cudem.

— To szczególniejsze...

— Stałem we wsi, zwanej u nas „du Philosophe” — na wzgóreczku niedaleko szosy do Loos... Pan major pamięta?

— Jakże... Patrzyłem na ten wzgóreczek przez półtora roku.

— To była wojna, panie majorze, a pańscy Niemcy dopiero byli żołnierze!

— Dziękuję bardzo panu kapitanowi za te słowa uznania. My, Niemcy, z naszej strony ceniliśmy zawsze nader wysoko...

Patrzyli na siebie z podziwem i z szacunkiem, wspominając tamte czasy nadludzkie i straszliwe. Wydawało się to już teraz dawnym snem fantastycznym, opowieścią, koszmarem i nieprawdą w porównaniu z tą sielankową polską wojną. Ten Francuz i major ex-Niemiec po czterech latach tytanicznych walk na śmierć i życie, w których zmagali się ze sobą na oczach całego świata, jeden zwycięzca a drugi pobity, poczuili ku sobie nieprzezwykłą sympatię. Odnaleźli się nawzajem w tem osobliwym miejscu, w szerokim pustkowiu starych pobojoisk, zgłiszcz, jezior i bajorów, na egzotycznej pijatyce śmiesznych epigonów wielkiej wojny światowej. Przygarnęli się do siebie, popijali gęsto i utonęli we wspomnieniach.

Puzo był wniebowzięty. Jego potężny bas oszalał kulturalnego podpułkownika Moldescula, przedstawiciela komendy grupy, siedzącego po jego prawicy. Raziły go grube żarty i straszliwa, zaprawiana dziegciem polszczyzna. Ale i ten po pięciu wódkach zaczął się uśmiechać na swój sposób, szczerząc złote zęby w wyblakłych wargach i usiłował nawet opowiedzieć jedyną swoją anegdotę, którą zapamiętał był jeszcze ze szkoły kadeckiej — o marszałku Radetzky'm, o cygance i o dwóch węgrach. Puzo słuchał z najuprzejmniejszą cierpliwością, zabawiony jakanem Austriaka, który z wysiłkiem zbierał do kupy znajome sobie polskie słowa i omaszczał nimi swój chaotyczny żargon.

— To dopiero — co się nazywa — austriackie gadanie — myślał Puzo, zapatrzone w dal długiego stołu.

Z głębi swej duszy żołnierskiej lubował się tym serdecznym obrazem. Pięknie jest, kiedy pułk stoi na baczność pod sztandarem — cisza, że muchę słyszeć lecającą powietrzem... Pięknie, kiedy po zmudnej nocnej pracy rozproszone szwadrony ściągają na miejsce wyznaczone w dyspozycji i jeden za drugim wyłaniają się w mętym przedświcie, a tuż we mgle w miasteczku nocuje nieprzyjaciel... . Śpi i ani mu się przyśni, co na nim wisi. Pięknie, kiedy się grzebie towarzysza broni i pop kadzi, śpiewając basem, a górą jeden po drugim leca pociski i jęczą, wyją żałobnie... I jakże pięknie, kiedy przy suto zastawionych stołach zasiadają w braterskiej gromadzie panowie oficerowie — honor i chluba narodu, sól ziemi.... Jedźcie na zdrowie, gołębiczki, bo w was jedyna siła w narodzie.... Pijcie, nie żałujcie sobie, pijcie wódkę-matkę na ochotę rycerską, na kawalerską fantazję....



Nieżyczliwy nastrój topniał w warze młodości. Gdy wszyscy przełknęli pierwszą gorycz zawodu, popłynęła ku Jackowi fala burzliwego entuzjazmu. Wzięto go na ramiona i wśród piekielnych ryków podrzucano pod sufit. Tylko dzięki sprawności świetnego gimnastyka wyszedł z tych owacyjnych opałów bez szwanku. Zadyszany, wzruszony, w rumieńcach, przyjmował i odwzajemniał uściski, nie bacząc, od kogo pochodzą.

— Rozstapcie się, orangutany! Niech i ja się do niego docisnę! — Fanchette, „najpiękniejsza modelka paryska”, otulona już skromnie aż po szyję w „prawdziwie wschodnią makatę”, torowała sobie drogę w ciżbie, rozdzielając na lewo i prawo małą lecz silną dłońią siarczyste policzki, gdyż młodzi zuchwalcy, korzystając z zamieszania, napastowali hurmem jej urodę teraz, „gdy nie jest już święta, bo nie pozuje”.

— Przyjmiesz i odemnie życzenia?

— Tysiąckrotnie dziękuję, Fanchette...

— No, to przy tej całkiem wyjątkowej sposobności może mnie nareszcie pocałujesz? — przebiegła kuszącym ruchem na obnażone ramię główkę z krótko obciętemi czarnymi włosami, ułożonemi w „demoniczną fryzurę Hiszpanki”, rozchyliła wargi czerwone niczem krew najświeższa.

Usta Jacka ledwo musnęły jej nose. Drgnęła i uciekła piorunem, ze łzami w ładnych, najniepotrzebniej podmalowanych oczach, mrucząc o „polskim niedźwiedziu, lodowatym nie do wytrzymania”.

— Dość! Dość! — darł się Bob. — Rozerwiecie go na sztuki! Zostawcie go, szakale! Niech nabierze tchu na wieczorną bibę!

Z wielkim trudem zdołał uprowadzić Jacka, skacząc susami kangura przez sień, schody, na ulicę. Tam puścili się pędem. Drobnostką było dla Jacka szybko biegacza nie tylko dorównać długonogiemu koledze, lecz i prześcignąć go odrazu. To też Bob wkrótce zaczął sapać i przystanął.

— Bobek, tyczko najdroższa, nie podziękowałem ci jeszcze... Od początku tych moich dwóch lat w pracowni byłeś, ty jeden, zawsze prawdziwym przyjacielem...

— Daj się wypchać z przyjaźnią! Zgoniłeś mnie gorzej psa! Serce spadło mi do żołądka i tam fika! Kaszymoki, ty zwierzę japońskie, ciśnij w kąt wszelkie malarstwo, a zapisz się raczej do koni wyścigowych! Tam twoja przyszłość!

Z samochodu, który raptem przy nich się zatrzymał, wyskoczyła dziewczyna o przebudnych lokach, już nie w białym kitlu, gdzieś gdzieś zamorusanym farbami, ale wystrojona Paryżanka, jak z pudełka.

— A ty tu czego, dziewico? — przywitał ją Bob surowo.

— Chciałam koniecznie jedno słowo Jackowi... Tam nie dali mi się zbliżyć ci krzykacze...

— Słuchaj — Bob wpadł w ton uroczysty. — Nazywasz się Maren Liljenkron... jakem uczciwy Francuz, można się udławić temi waszemi nazwiskami... nosisz przydomek „bladej hrabiny” i jesteś podobno najbardziej autentyczną panną. Poza tem masz stanowczo za dużo włosów na twoim małym łebku, humorystycznie małą buźkę i oczy wymyte za niebiesko jak lalka z kopenhaskiej porcelany, co jest zresztą w porządku, zważywszy, że jesteś Dunką z Kopenhagi. Wogóle typek djablo dziwaczny, ani ładny ani brzydki,

aczkolwiek wcale przyzwoicie zbudowany, o czym niestety nie mogłem dotychczas dokładnie się przekonać. Z tem wszystkiem kocham się w tobie, jak ostatni idjota i mówię ci po raz setny, przy Kaszymokim się nie pętaj, bo nic ci z tego nie przyjdzie, dziewczę bezrozumne!

— Ach, Bob, dobrześ o sobie powiedział — zaczerwieniła się gwałtownie. — Cóż to, nie mogę Jackowi ręki uścisnąć? W takiej chwili? Z Fanchette to się całował....

— Tędy ją wiedli! — jęknął Bob zrozpaczony. — A przekłete baby! Zna go od trzech tygodni i już zazdrośna!

— Proszę cię, Jacku, — mówiła Maren różowa aż po uszy — nie zważaj przez sekundę na głupstwa, które ten drażni wygaduje, bo to oczywiście nieprawda bez sensu... I niechże ci gorąco powinszuję, mój stary...

— Dziękuję, blade hrabino, bardzo dziękuję. Jesteście wszyscy zanadto dobrzy dla mnie. Nie gniewajcie się, mam kompletnie zakreconą głowę. Muszę być sam. Do widzenia.

Uśmiechnął się tak czarująco, że Maren znowu pobladała, i tyle go widzieli. Zniknął z radością jelenia.

— A nie mówiłem ci? — rzekł Bob bezlitośnie. — Jak teraz wyglądasz? Powiedzieć ci? Określając najgrzeczniej, jak ciele opuszczone przez matkę. Trzymaj się mnie, powtarzam i radzę. Ja cię nie opuszczę. O ile mi się zdaje, wyznałaś przed chwilą w pracowni, że mnie kochasz?....

— Boś go bronił. A jeżeli będziesz dalej mnie nudził swoją naprawdę idjotyczną miłością, przeniosę się do innego „mistrza”.

— Chciałbym to widzieć — skrzywił się, przymykając oko. — A Kaszymoki? Wyperswaduj go sobie, panienko. On jest bodaj że bardziej dziewczicą, niż ty, płowowłosa córko fjordów...

Maren, zarumieniona płomiennie, odwróciła się od niego plecami i czempredziej wsiadła do samochodu, pomijając wyniosłem milczeniem rozpaczliwe zakłęcia i skargi Boba, „że przez nią, wstrętą cudzoziemkę bez serca, gotów rzucić się pod koła pierwszego lepszego wehikułu i zginać samotnie”.

Nagła chęć Jacka, by w samotności uciec od przyjaciół, wyjaśniała się także miłością. Burzą ukochania porwały go myśli o ojcu. Od ludzi jak najdalej i teraz tylko z nim jedynym! Z nim, najbliższym, serdecznym, który — jakież to jasne — czuwa nad synem z niewidzialnej krainy. Bo to on zesłał sławę i tryumf, od których gorączką biją skronie i mgła łez zasłania spojrzenie. On, „Jeździec w ataku”, ulan Władysław Karzymowski...

Jacek stał opodal wejścia na „Most Sztuk”. Modrosina szeroka Sekwana nad jej brzegiem, przynięcionie cieniem drzew kramy bibliotecznych antykwaryjszy, tak mu zawsze ulubione, w tyle cudowne wspaniałością kolumnady Luwru.

Zamazywał się, niknął ten widok, z całem gigantycznym tłem Paryża. Przed oczami tylko twarz rycerska w uśmiechu świetnej odwagi. „Ulan - ochotnik Władysław Karzymowski poległ śmiercią walecznych w szarży na wieś Długobory.” Dwa lata już prawie, jak Nikodem wyjął z dużej urzędowej koperty z pieczęcią Ministerstwa Wojny tę ćwiartkę papieru z kilku linjami maszynowego pisma. Dwa lata, jak Jacek jest sam pośród ludzi. — „Nie sam”. — Zaraz oburzył się



na siebie. Ta twarz najdroższa, której nigdy nie widział tak pięknej jak wówczas w chwili pożegnania, towarzyszyła mu odtąd we wszystkich snach i we wszystkich dziennych zadumach. W niej ukochał ojca uczuciem o wiele silniejszym i głębszym, niż miłość, jaką miał dla żywego. (Nieraz przejmowało go to dziwną boleścią). Z tą jakby nową a pożarną mocą umiłowania rzucił się, pod nakazem gwałtownie zbudzonego porywu, do prób i starań, aby postać ojcowską jak najsilniej utrwalić tęsknocie. — „Wymaluję sobie mojego tatusia”.

Włożył w te próby cały ogrom synowskiego smutku, wszystek ból nocy przeplakanych w sieroctwie. A zaczął już w parę dni po wieści żałobnej. I potem już bez ustanku, nie opuścił jednej wolnej chwili. Tem tylko żył, więcej niczem. Możeby nie wyżył inaczej...

Tysiącem odgłosów szumiał przy nim gwar wielkiej nadbrzeżnej paryskiej ulicy. Nic o tem nie wiedział. Rozmawiał z ojcem. O ileż otwarciej, niż za jego życia....

— Pamiętasz, jakem cię męczył, tatusiu? Pamiętasz? Najpierw przez to, żeś mnie zostawił. A ja wiedziałem, żeś ty poszedł się bić. Tylkom ci nie mówił. Taka była nasza cicha umowa. Wiedziałem, że mi nie pozwolisz pójść z tobą. Tom czekał. A potem, gdyś ty nie wrócił, to już wojna się skończyła. I potem, pamiętasz? Jakem się modlił i płakał? A nie miałem przed kim się wypłakać. Chyba tylko przed tobą, którego nie było. Choć byłeś, byłeś już inny....

Ojcu i sobie przypominał krwawą zaiste uciążliwość trudów i mękę bezmierną, zanim wreszcie, stanawszy przed swoim obrazem, powiedział: — „Teraz już dobrze. Już koniec”.

A przedtem.... Nie raz, nie dwa i nie trzy darł i palił pracę długich miesięcy, w szlochu najokrutniej samotnym: — „Na nic! To nie ty! Nie zdołam nigdy stworzyć cię takim, jakiego wciąż widzę”!

I znowu od początku, na nowo, ze ściśniętymi zębami, z płaczem i z pasją, w miłowaniu i tęsknej rozpacz! Prawie dwa lata! Dwa lata takich wysiłków, często tortury. I jakiej! Żeby kto mógł wiedzieć! „Bóg wiedział i ty, tatusiu”. Tak, to było całe jego życie. Wszystko inne czemś nieważnem i szarem, że tej szarzyzny nawet pamięć się nie czepiała. Jeszcze rok w kolegium, jakieś wyjazdy z Nikodemem i ludźmi, wszyscy ludzie tak mu nic nie znaczący, jakby nie byli z krwi i z ciała. Jeden Alojzy... pocziwy „bidaka”.... Może jeszcze Bob... Tylko ci dwaj widzieli obraz, nim zaniósł go „mistrzowi”. Jakże mu

wtedy serce tłukło się w piersiach, dziw, że te piersi nie pękły! — „Zobaczmy, mój młody przyjacielu.” — Zaś Alojzy... — „Boże wszechmocny, jaśnie pan, nieboszczyk, jakby ożył na tem malowidle. Ale młodszy, urodniejszy! Taki szedł do ślubu! A koń... Trzymajcie mnie, wszyscy święci, przecież to jaśnie pana „Rozbójnica”, najukochańsza ona-że wierzchówka! Z tą strzałką na czole i z grzywą rozbechtaną nad uszami, jak tylko ona jedna na świecie.... Ale klacz została w Karzymowicach... Jaśnie pan na wojnie jej nie miał!”

Nie miał. Lecz Jacek pamiętał, że to była klacz ukochana. Zgromił srogo Alojzego za „nieboszczyka”. — „Raz na zawsze zabraniam ci tak mówić. Nieboszczyków wogóle niema, a ojciec to już nigdy....”

Tak, nigdy. Cóż jest śmierć? Odejście z tego pola widzenia, które nasz wzrok tu obejmuje, a jaki bezmiar pól innych istnieć musi! Tęsknijcie do nich, oczy....

— Tam jesteś ty... i Ania, moja matka.... i ta cudna prababka Włoszka... i pradziad Piotr.... i tylu, których nie znam, a których poznam z pewnością....

Nad Sekwaną błękitniał już zmierzch. W oddali zaczęły błyszczeć różnokolorowe światła. A Jacek trwał w rozmowie „z najczujniejszym swoim strażnikiem, też zdaleka”.

— Jak to było strasznie trudno z tą „Rozbójnicą”! Nie dawała, ani rusz, uchwycić się na obraz! Chyba ze sto razy próbowałem, aż nareszcie... I jak mi się obraz wciąż rozrastał! Chciałem najpierw tylko samą twarz tatusia... a potem musiałem całą postać... „W szarży na wieś Długobory”.... Nie mogłem namalować tej wsi, bom jej nie widział... Ale ciebie, na koniu! I te chmury wieczorne, bobym przysiągł, że wtedy był wieczór... Rozwiewające się chmury... Cemu mi się zdawało, że te chmury to jakieś kobiety? I tak to zrobiłem! Tylko, że one w kolorycie za blade, za nikłe.... tu jest błąd, „stary” ma rację” Cóż, odrazu nie potrafię wszystkiego.... I już nie umiałbym poprawić... A mimo to wzięli do Salonu! — uderzył w niego pęd radości tak wiosennej, że zaśmiał się głośno najszczerzym śmiechem dziecinnym.

Obejrzał się ze zdziwieniem jeden i drugi przechodzień, a i przechodząca za ślicznym chłopcem, wspartym o balustradę nad rzeką.

— Dziękuję, tatusiu mój jedyny...

Tłum coraz gęstszy. Trącają, patrzą... Trzeba wracać....

K O N I E C

## CZY WOLNO PORTRETOWAĆ ZNAJOMYCH W POWIEŚCI?

Nieraz zarzuca się jakiemuś pisarzowi, że w utworach swoich beletrystycznych sportretował znajomych, otoczenie. Jest to... zdaniem pewnych krytyków, posługiwanie się materiałem zbyt łatwym, niegodnym wysokich aspiracji. Uważa się przytem, iż tego rodzaju utwory bywają przeważnie natury paszkwilanckiej. Jaki jest jednak w istocie stosunek do tego ciekawego zjawiska? Czy wolno portretować znajomych w beletrystyce?

Pytanie to postawiła redakcja „Die Literarische Welt” pisarzom niemieckim. Wiadomo jest przecież, że często przez literackie opracowanie życia jakiegoś człowieka popełnia się karygodną niedyskrecję, uniemożliwia się mu działanie. Bywa też odwrotnie. Niedawno prasa jugosłowiańska przyniosła wiadomość, że pewien serbski pisarz tak pojętnie odmalował podobiznę cyganki w

swojej powieści, że w krótkim czasie stała się niezwykle popularna. Powieść ta wpłynęła bardzo dodatnio na życiową jej karierę. Widzimy więc, że praktyczny wpływ może być różny. Cóż myślą o tem pisarze?

Henryk Mann, Maks Brod, Herbert Eulenburg, Klabund, Rudolf Bartsch w odpowiedzi na ankietę wyraźnie podkreślili:

— Portretować znajomych wolno.

Czy jest to niedyskrecja? Zależy to od talentu autora. Sztuka pisarska rozstrzyga o poziomie zależności autora od modela. Można przecież ze znajomego głupca zrobić sympatycznego mędrca. Można też z człowieka pocziwego i uczciwego uczynić monstrum moralne. Wszystko więc zależne jest od pisarza. Beletrysta, jak i każdy artysta, musi posługiwać się modelami. Chodzi tylko o to, by starał się wykazać jaknajwięcej dobrej woli, idealizmu, bezinteresowności w stosunku do postaci, branej z natury. Gdy kładzie nacisk na stronę inną — nie idzie mu o sztukę, lecz o spra-

wy poboczne. I to jest właśnie paszkwil... utwór niegodny pisarza.

Obfitość różnych zdań przynosi inne pytanie: Czy osoby sportretowane w powieści, czy w sztuce teatralnej mogą dochodzić swoich praw sądownie? Prof. dr. Teodor Lessing jest zdania, że prawo powinno chronić przed nadużyciami tego rodzaju. Henryk Mann natomiast twierdzi, że osoby dobrze scharakteryzowane nigdy się nie poznają w książkach o nich pisanych. Niema więc obawy przed sądami. Herbert Eulenberg odpowiada kategorycznie: Nie, nie powinien udawać się do sądów. Niech milczą, lub niech się śmieją — ale skarżyć się do sądów, nigdy!

Sztuka pisarska jest rzemiosłem trudnym i odpowiedzialnym. Człowiek mądry i odpowiedzialny, dobry, biorąc pióro do ręki, wie, iż trzyma najpotworniejsze narzędzie tortur. Rządzi się dobrym smakiem i nie czyni nigdy tego, co jest mu niemiłe. Pamfletciści bowiem, to zawsze ludzie gruboskórni.